

Lukasyno, Znamię Kaina (ft. Pih)

Stań przed lustrem
W oczy powiedz:
Chcesz być wilkiem, czy jedną z owiec
Na mej dzielnicy był wieżowiec
Z jego dachu nocą patrzyłem na dzielnice
Jak na dłoni linie papilarne kręte ulice
Puste ławki, kurz na zaluzjach okien kumpli
Rozrzuceni po świecie darzymy się szacunkiem
Jak to w życiu się wie dzie
Jednym lepiej innym grzej
Specyficzna wież, której przerwać nie możesz

Mój Boże cużem uczynił
Ze zamiast łapać wiatr
Nagle szukałem w sobie winy
Błędy młodości
Jak wichry chwiały łódką
Sport, dyscyplina
Do lepszego jutra furtką
Młode lata
Rodzice tranzyt
Chowała babcia
Dziadek lubił wypić, nie mała w nim oparcia
Pamiętam raz w miesiącu smak chleba z baleronom
Jej uśmiechniętą twarz gdy wołałem pod balkonem

Pusty dom wieczorem
Zmęczony po szkole
Odrabiałem lekcje
Odgrzewałem sobie obiad
Anioł Stróż podpowiadał mi:
Idź w swoją stronę
Nie udało się żyć tak
By niczego nie żałować
Podwórko wciągała
Hip hop, nocne życie
Ulica, balety, kobiety, trawa, picie
Wyrwałem się z amoku
Z zapaleniem trzustki
Gdy nie miałem już co zwrócić do klozetowej muszli
Pierwszy biznes – skup, sprzedaż, komórki
Zamykałem późno, chcieli mnie przerobić Ruscy
Hjsu pełna kieszeń
Pełna torba telefonów
Niepewna droga do domu
Potem studia
Noca taksa
Odsypiałem na postojach
Miałem kurwa dość miejskiego żarcia
Na uczelni mówili mi że tam nie pasuje
Nie poddałem się
Gdy ich widzę, niechęć czuje
Pierdole ich dyplomy, życiowe teorie
Przykuty do koja, długo odrabiałem formę
Po dwóch operacjach nogi, sport został w tyle
Kalistenika – prawdziwa siła, dzięki niej żyję
Gdyby nie ambicja, gdzie bym był?
Nie wiadomo
Dbaj o szkołę zamiast palić swe marzenia za szkołą
Mówili, że to lipa,
Ja czułem dumę - bo nie szedłem na łatwiznę, kierowałem się rozumem
Też chciałem się poddać, rap był gdzieś z boku
Dzięki zapisanym kartkom, znajdowałem spokój
Dziś wracam na dzielnicę, stoję na dachu bloku

Jestem wolny, poświęceniem zapłaciłem okup.

Cicha, zimna noc
Pod klatką płacz dorosłych dzieci
Światła karetki, prokurator, chodnik w krwi, skrzepy
Spod folii wystająca dłoń od ziemi brudna
14 lat, chłopaczyna, przeznaczenie trumna
Połamany kark, rozrzucone nogi; świat jest straszny
Ostatni znak wysłany w akcie rozpacz
Tej nocy nie zasnąłem, niewygodne łóżko
Z ułożoną pod głową złych myśli poduszką
Dla tych którzy przedwcześnie odeszli wieczny pokój,
Ocalałem, lecz sam stałem na dachu bloku
95-96, od losu zimny prysznic
Miałem dość życia i samobójcze myśli
Każdy z nas wisi przybity na swoim krzyżu
Zakłamanie kazania nie dają sensu życiu
Dopadła mnie nostalgia, nie ma miejsca jak dom
Gdy na drzewie za oknem setki obcych, wrogich wron
Nigdy nie bałem się życia, choć wiem bywa jak cyjanek
Znajdowałem szczęście tam, gdzie go nigdy nie szukałem
I był mi obcy ten przywilej bananowca
jak miałem często pod górę, stary hajsu nie podkopsał
Czułem ten ciężar, pierdolony balast
Zmawiałem sobie Bóg nie może być przy wszystkich naraz
Nieraz słyszałem w mojej głowie obcy głos
Kolejny dzień towarzyszyła mi noc
Często czuję chłód, gdy zamykam oczy
Po ulicach pochód kroczy, w workach na ludzkie zwłoki
Kiedyś byli mi bliscy, dziś nie mam sentymentów
Moje serce martwe dla nich, oni martwi w moim sercu
Z butelką wódki w ręku, skrobię kolejny nekrolog
Nigdy przeciwko swoim osądom, w zgodzie ze sobą
Nikt mi nic nie dał, przyszłość jest teraz
Tu gdzie światła miast zabierają niebu blask gwiazd.

Nigdy nie byli mi przyjaciółmi,
Miej za wroga, długa droga,
Szedłem tu na własnych nogach,
Nikom z nich nie zawdzięczam nic,
Dla nich mogę nosić imię Kain
Nigdy nie byli mi przyjaciółmi,
Miej za wroga, długa droga,
Szedłem tu na własnych nogach,
Nikom z nich nie zawdzięczam nic,
Dla nich mogę nosić imię Kain
Mój biff